

Do premiery w Powszechnym myśle, że „Pamiętnik” Białoszewskiego odbiera patos wydarzeniom w 1944 r., bo przedstawia wojnę z punktu widzenia zastraszonego cywila. Gdy inni heroicznie walczą, on ratuje własną skórę, dba o mocny dach nad głową, pełną misę i wychodek. Ale jest najbardziej unikliwym, bo beznamietnym świadkiem śmierci miasta. Jest tego miasta sumieniem – pisze Roman Pawłowski, recenzent teatralny „Gazety Wyborczej”. = Tymczasem to, co Białoszewski odmitologizował, Śmigalsiewicz (reżyser) z powrotem zanurzył w gestym sosie narodowej martyrologii i nie odmówił sobie przyjemności uderzenia w patetyczne struny. Co przyszło mu łatwo, jako że w tekście nie brakuje odpowiednich modlitw, z których uczynił centralny punkt inscenizacji. Nie ma za to kupy, smrodu, gotowania, wszy, brudu, całego teatru codzienności, z którego zbudowany jest „Pamiętnik”.

Nie ma? W sensie dosłownym istotnie nikt się nie drapie na scenie ani nie szuka wszy. Natomiast o kupie się mówi z bezpośredniością raczej drastyczną, kobieta wylewająca zaśmierdłą wodę jest na skraju obłędu i z trudem ją uspokajają współmieszkańcy piwnicy, mdłymi uśmiechami kwitowana jest „uczta” gotowana z niejadalnych resztek. Litanie – i inne, całkiem świeckie zaklęcia – mamrocze się pod nosem, żeby zabić lęk, rozpacz, głód i niekończące się czekanie odmierzałe kroplami wody z zardzewiałej rury. Wspólna półgłówna modlitwa pojawi się w godzinie śmierci, gdy słyszany za ścianą czołg może w każdej chwili zasypać piwnicę. To, co recenzent bierze za „przeraźliwe krzyki” narratora (Władysława Kowalskiego) jest opowieścią o uleczcze przed bombardowaniem, pełną zwierzęcego strachu,

samoponizującą, bezwstydną w nieskrywanej panice. Za ścianą ktoś umiera w stylu nader mało tragicznym: jęcząc natrętnie coraz ciszej, coraz słabiej...

Tak ma wyglądać „gesty sos narodowej martyrologii” i „przyjemność uderzania w patetyczne struny”?

¶ Nie kłóć się o ocenę spektaklu; moje i red. Pawłowskiego gusta i interpretacje są zazwyczaj odmienne i ten przypadek nie jest wyjątkiem. Aliscy gdzieś tu gubi się elementarny sens słów. Spektakl Waldemara Śmigalsiewicza można obwiniać o to, że jest mniej przejmujący niż proza Białoszewskiego (co skądinąd oczywiste), że jest bardziej słuchowskimi niż widowskimi; wszystko prawda. Ale jeśli komentator w tej skromnej i powściągliwej etiudzie teatralnej widzi nadmierne heroizowanie i mitologizowanie powstańczej rzeczywistości – trudno zgadnąć, jaki właściwie poziom „deheroizacji” mógłby go zadowolić. Objawia się tu potężna alergia na wszelki patos, alergia charakterystyczna nie dla jednego tylko recenzenta, lecz i dla całych rzesz naszych co młodszymi współobywateli. Uczulenie zrozumiałe po latach propagandy PRL-owskiej i post-PRLowskiej niestety też. Tyle że – przy zbyt dużym stężeniu – uczulenie to może unieczystwiać wszelkie serio w sztuce. Próby mówienia serio na przykład o historii Polski, ale także o śmierci, cierpieniu, lęku, o heroizmie uniwersalnym – o tym, czym teatr przez dwa i pół tysiąclecia istnienia często lubił się zajmować.

Na moim przedstawieniu działwa licealna słuchała teatralnego „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego” z uwagą i – takie wrażenie można było odnieść – z szacunkiem. Co statystycznego obrazy „alergicznego pokolenia” zapewne nie zmienia. Ale cieszy.